

Halina Parafianowicz

Białystok

Dwugłos w sprawie polityki Franklina Delano Roosevelta

Franklin D. Roosevelt i jego polityka, mimo istniejącej na ten temat ogromnej światowej literatury przedmiotu, są nadal obiektem zainteresowania kolejnych pokoleń badaczy. Nic też nie wskazuje, że ma się to zmienić w najbliższym czasie, bowiem zapowiadane są dalsze książki biograficzne, jak również monografie dotyczące wybranych aspektów polityki Franklina D. Roosevelta (FDR, jak go nazywają rodacy). Od lat też nie słabnie zainteresowanie jego polityką zagraniczną.

Najnowsze prace o genezie amerykańskiego włączenia do II wojny światowej dotyczą zagorzałych politycznych dyskusji Amerykanów, w tym także historyków, na temat polityki zagranicznej USA. Nie wygasły nigdy spory pomiędzy zwolennikami polityki izolacjonistycznej, czy jak niektórzy chcą neutralności, a rzecznikami większego amerykańskiego zaangażowania w politykę światową. Dyskusje na ten temat z II połowy lat 30. XX wieku – w obliczu groźby wojennej – uległy intensyfikacji, a dylemat rozstrzygnięty przez polityków i wojskowych, a więc wejście USA do wojny, budzi nadal ożywione nieraz dyskusje wśród historyków.

Justus D. Doenecke i Mark A. Stoler¹ w swojej najnowszej pracy podejmują na nowo dyskusję nad polityką Roosevelta. Praca składa się z dwu esejów, do których każdy z autorów dołącza wybór dokumentów (s. 93–111; 187–215). Bardzo krytyczny Justus D. Doenecke w swojej części zatytułowanej *The Roosevelt Foreign Policy: An Ambiguous Legacy* (s. 1–89) dołączył 6 tekstów źródłowych. W drugiej części pracy Mark A. Stoler w esej *The Roosevelt Foreign Policy: Flawed, but Superior to the Competition* (s. 13–183) życzliwie ocenił FDR, posiłkując się 7 dokumentami dla zobrazowania swoich tez. Warto podkreślić, że jest to dwugłos uznanych specjalistów, którzy tematyce tej poświęcili wiele publikacji. Można już w tym miejscu zauważyć, że generalnie krytyczny wobec FDR

¹ *Debating Franklin D. Roosevelt's Foreign Policies, 1933–1945*, Lanham: Rowman & Littlefield Publishers, Inc., 2005, ss. 238.

Doenecke także nie odmawia mu pewnych zalet. Podkreśla jego przywództwo w czasie II wojny i uznaje go za faktycznego architekta zwycięstwa nad państwami Osi. Z kolei Stoler, który znakomicie mieści się w nurcie apologetycznego pisarstwa o Rooseveltcie, nie jest całkowicie bezkrytyczny wobec niego.

We wprowadzeniu autorzy wskazują, że Roosevelt wybierany czterokrotnie na urząd prezydenta pełnił go przez ponad 12 lat, budząc zawsze ożywione dyskusje i spory. Warto pamiętać, że jego bezprecedensowe urzędowanie przypadło na okres światowego kryzysu gospodarczego i reform gospodarczo-społecznych w czasie *new dealu*, jak i II wojny światowej. W pisarstwie historycznym o Rooseveltcie nadal dominuje nurt apologetyczny, zapoczątkowany jeszcze pod koniec lat 1930. Nie zaniknął tradycyjny nurt pisarstwa historycznego o wojennej dyplomacji USA, spotkaniach na szczycie i osobistej roli prezydenta Roosevelta (wcześniej pisał o tym m.in. Gaddis Smith, Warren F. Kimball, Frederick W. Marks III).

Doenecke podkreśla dużą rolę niezwyklej osobowości oraz osobiste zaangażowanie FDR w działalność polityczną. Zwykł się on otaczać przyjaciółmi i ludźmi oddanymi, w towarzystwie których czuł się znakomicie. Dlatego po śmierci w 1936 roku Louisa Howe'a, a potem w 1941 roku Lucy Mercer, Roosevelt został bardzo osamotniony i było mu bardzo trudno (s. 6).

Roosevelt był dobrze wykształcony i od młodości interesował się sytuacją międzynarodową, sporo podróżował (jak mu potem wyliczono – 7 razy odwiedził Europę). Ale, jak pisze Doenecke, był typowym „amerykańskim szowinistą”, czemu dał wyraz w trakcie kampanii wyborczej w 1928 roku w artykule w „Our Foreign Policy: A Democratic View”, opublikowanych w prestiżowym „Foreign Affairs” (s. 9). Warto zastanowić się, czy, i na ile, *credo* polityczne ówczesnego gubernatora stanu nowojorskiego znalazło oddźwięk w późniejszej polityce.

Przyjrzyjmy się osobom, które miały wpływ na politykę zagraniczną USA w czasach Roosevelta. Sekretarzem stanu został 62-letni senator z Tennessee – Cordell Hull, z ogromnym doświadczeniem politycznym, zwłaszcza w sprawach legislacyjnych. Jako wieloletni członek Izby Reprezentantów, a od 1931 roku, Senatowi okazał się potem niezwykle pomocny w kontaktach z Kongresem, zwłaszcza z politykami z Południa. To on starał się, choć z różnym skutkiem, wprowadzać elementy moralizatorskie do polityki. Był jednak słabowitego zdrowia, co z czasem coraz bardziej dawało o sobie znać i stawało się poważnym problemem w pełnieniu obowiązków. Od 1938 roku pokazywał się on coraz rzadziej publicznie i oddawał się regularnym kuracjom zdrowotnym. Prezydent wszak mu ufał i korzystał z jego pomocy w sprawach trudnych i delikatnych, wymagających zręczności i dyskrecji. W 1941 roku Hull prowadził jeszcze rokowania z Japonią, ale już niebawem postępująca gruźlica wykluczyła jego obecność w większości ważnych spotkań na szczycie. Nie był on też wprowadzony w wiele bieżących spraw, m.in. nic nie wiedział o tematyce rozmów w Teheranie, gdzie prezydentowi towarzyszył Harry Hopkins i liczni wojskowi (s. 70), czy o lądowaniu

w Normandii (s. 11). W listopadzie 1944 roku, po 11 latach pracy, sekretarz zrezygnował ze stanowiska.

Drugą ważną osobą w Departamencie Stanu był Sumner Welles, kolega Roosevelta z czasów studenckich w Groton i Harvardzie. Od 1937 roku pełnił obowiązki podsekretarza stanu, ugruntowując w kolejnych latach swoją pozycję. Welles był czasem wysyłany przez prezydenta ze specjalnymi, poufnymi misjami, stając się faktycznie rywalem sekretarza stanu. Jego silna pozycja, zaufanie i bliski kontakt z FDR były powodem pewnych nieporozumień pomiędzy tymi dwoma politykami. Niewykluczone, że osobiste animozje i intrygi innych polityków miały wpływ na jego odsunięcie z urzędu we wrześniu 1943 roku. Autor nie rozstrzyga tej kwestii, choć wzmiankuje też o preferencjach seksualnych Wellesa (s. 11–12). W waszyngtońskiej elicie krążyły plotki o jego homoseksualizmie, a w owym czasie upublicznienie takiej informacji dla każdego polityka byłoby śmiertelnym ciosem.

Wellesa zastąpił Edward Stettinius, zastępca dyrektora *General Motors* i administrator *lend-lease*. Większość badaczy jest zgodna, że nie dorównywał on intelektualnie swemu poprzednikowi i był słabo zorientowany w sprawach polityki zagranicznej, co było powodem nawet wielu uszczypliwości i złośliwości współpracowników. Zajmował się zbyt drobiazgowo i uchodził za swego rodzaju prezydenckiego „chłopca na posyłki”. Ale w rok później, pod koniec listopada 1944 roku to właśnie on awansował na stanowisko sekretarza stanu. Obowiązki te pełnił do lipca 1945 roku, mając do pomocy niezwykle użytecznego specjalnego asystenta w osobie doświadczonego dyplomaty, Williama Phillipsa.

Warto też wspomnieć o Harrym Hopkinsie, który odgrywał – co podkreśla także Doenecke – bardzo ważną rolę w administracji Roosevelta. Był on administratorem programów społecznych *new dealu*, bliskim i zaufanym współpracownikiem prezydenta. Autor nazywa go *alter ego* Roosevelta i porównuje jego wpływy do wpływów legendarnego płk. Edwarda M. House’a przy prezydencie Woodrow Wilsonie (s. 13). Faktycznie trudna do przecenienia była rola tego pragmatycznego polityka, wysyłanego nieraz przez prezydenta do specjalnych zadań. Nie musiał oficjalnie pełnić ważnych funkcji, ale – działając niejako spoza kulis – był zawsze w centrum wydarzeń.

Podzielałam w pełni opinie Doenecke, że Roosevelt na stanowiska w dyplomacji – zgodnie z wciąż funkcjonującym tzw. systemem łupów politycznych (*spoils system*) – powołał wiele osób niezbyt przygotowanych do tych zadań. Faktycznie ambasador we Włoszech – Breckinridge Long, naiwny i nieprofesjonalny, entuzjasta Benito Mussoliniego nie mógł być mu użyteczny w tych ważnych latach. Potem go podmienił, wysyłając tam w 1936 roku Williama Phillipsa, który w Rzymie przebywał do 1941 roku i był szczególnie użyteczny w pośredniczeniu i przekazywaniu istotnych informacji pomiędzy Rooseveltem i Mussolinim w czasie konfliktu etiopskiego. Williama C. Bullitta, ambasadora w Moskwie, który był pomocny w nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z ZSRR, autor

ocenia krytycznie, jak w ogóle jego pracę dyplomatyczną również we Francji. Ale jego następcę w Moskwie Josepha Daviesa nazywa „kompletnym nieporozumieniem”. Jego powołanie na placówkę w Moskwie w 1936 roku było nominacją typowo polityczną, podobnie jak wysłanie w 1938 roku do Londynu Josepha Kennedy’ego na stanowisko ambasadora (s. 13–15). Również nieporozumieniem było wysłanie do Pekinu Patricka Hurley, co w latach II wojny światowej okazało się nader kłopotliwe.

Jak wzmiankuje autor, na szczęście jednej pomyłki udało się prezydentowi uniknąć, a mianowicie wysłania w 1933 roku do Warszawy Jamesa Curley. Był to burmistrz Bostonu, skorumpowany polityk, który miał pewne ambicje do pracy w dyplomacji. Nie przeszedł procedury nominacyjnej w Senacie (s. 14). Do Warszawy wysłano w czerwcu 1933 roku Johna Cudahey z Milwaukee, którego powołanie było również czysto polityczną nominacją. Po niespełna czteroletnim pobycie w Polsce, zastąpił go w maju 1937 roku Anthony J. Drexel Biddle Jr., przeniesiony z poselstwa w Oslo.

Warto wszak zwrócić uwagę na kilka w pełni trafnych decyzji Roosevelta, jeśli chodzi o obsadę placówek dyplomatycznych. Znakomitego historyka Williama E. Dodda powołał na ważne i odpowiedzialne stanowisko ambasadora w Niemczech. Dyplomata szybko rozpoznał i należycie ocenił sytuację wewnętrzną III Rzeszy i politykę hitlerowców, o czym rzeczowo i profesjonalnie informował w raportach do centrali w Waszyngtonie. Zostawił też dzienniki, które są znakomitym źródłem historycznym².

Stosunek administracji amerykańskiej do hiszpańskiej wojny domowej był pełen niedopowiedzeń, rezerwy i niekonsekwencji. Ambasador amerykański w Madrycie Claude Bowers pisał obszernie i szczegółowe raporty, świadczące o jego znakomitym rozeznaniu w sytuacji w Hiszpanii. Nie ukrywał swoich sympatii dla republikanów i z grozą opisywał morderstwa i okrucieństwa frankistów. Z niepokojem też pisał o groźbie dyktatury wojskowej i faszyzacji kraju przez gen. Franco³. Oficjalnie USA zachowały neutralność wobec konfliktu, czego świadectwem była kolejna ustawa o neutralności ze stycznia 1937 roku i wprowadzone embargo na broń na obu stron walczących. Ale wielu Amerykanów z kręgów rządowych, intelektualistów i szerokie kręgi amerykańskiej opinii publicznej sprzyjały republikanom, a z kolei katolicka hierarchia kościelna w USA sympatyzowała z Franco. Po klęsce republikanów w kwietniu 1939 roku Stany

² W 1941 roku ukazały się w Londynie (*Ambassador's Dodd's Diary, 1933–1938*). W wiele lat później opublikowane też zostały w języku polskim – W. E. Dodd, *Dziennik ambasadora, 1933–1938*. Przełożył M. Giniatowicz, Warszawa, Instytut Wydawniczy PAX, 1972.

³ Raporty te znajdują się w niezwykle interesującej i cennej kolekcji Cordella Hulla w *Roosevelt Study Center* w Middelburgu w Holandii, z której korzystałam. Warto też dodać, że materiały te nie zostały dotychczas w pełni wykorzystane przez badaczy.

Zjednoczone natychmiast uznały nowy rząd frankistowski, choć kilka lat potem Roosevelt przyznał, że embargo dla Hiszpanii było „wielkim błędem” jego administracji (s. 22).

Wydaje się, że Roosevelt z pewnym zaniepokojeniem obserwował napiętą sytuację w Europie latem 1938 roku i dyskretnie starał się przeciwdziałać eskalacji niemieckich żądań wysuwanych przeciwko Czechosłowacji. Temu służyły jego dwa apele o pokojowe rozwiązywanie wszelkich sporów. Ale – na co wskazuje Doenecke – porozumienie w Monachium i zgodę na cesję niemieckich Sudetów uznano powszechnie w Ameryce za słuszną decyzję. 60% Amerykanów – jak wykazały badania opinii publicznej – aprobowало decyzje konferencji w Monachium, a podsekretarz stanu Sumner Welles uznał, że ustanowiony został „nowy porządek oparty na sprawiedliwości i prawie” (s. 27). Te nastroje Amerykanów poniekąd przecież dały znać w kolejnych ustawach o neutralności z lat 1930.

Chyba istotnie za oceanem – mimo znakomitych raportów Dodda czy jego następcy w Berlinie, Hugh’a R. Wilsona – wciąż jeszcze łudzono się, co do zamiarów i polityki Hitlera. Dalsze niemieckie zbrojenia, budowa fortyfikacji i przesładowania Żydów, zwłaszcza wydarzenia *Kristallnacht* z 10 listopada 1938 roku spowodowały szybką reakcję USA. 15 listopada Hugh R. Wilson został wezwany do Waszyngtonu „na konsultacje”.

Podzielałam w pełni opinię autora na temat amerykańskiej polityki wobec uciekinierów z Europy, zwłaszcza Żydów (s. 27, 61 i in.). Rozmaite ograniczenia w wydawaniu wiz oraz restrykcyjna i bezduszna polityka imigracyjna zamknęła możliwość wyjazdu wielu przesładowanym ludziom. Dla większości z nich pozostawanie w III Rzeszy oznaczało prawie pewną śmierć. Dopiero w 1944 roku powołano *War Refugee Board* (WRB) do pomocy przesładowanym przez hitlerowców. Jak potem wyliczono, uratowano dzięki temu blisko 200 tys. osób. Było to jednak, jak zwykle podnoszono – „za późno i za mało”.

W Stanach Zjednoczonych od lat pisano o Holocauście i odpowiedzialności polityków i narodów za masową eksterminację Żydów w czasie II wojny światowej. Coraz to odżywają rozliczeniowe dyskusje na temat stosunku Amerykanów, amerykańskich Żydów, administracji i samego prezydenta do Zagłady. W ostatnich latach dyskusja na temat Holocaustu w USA nasiliła się, zwłaszcza w kręgach Żydów amerykańskich, ale i w ogóle w szerszych kręgach amerykańskiej opinii publicznej. Wiele się mówi i pisze o tragedii Żydów, podejmuje rozmaite inicjatywy edukacyjne w tym względzie, buduje kolejne muzea, wydaje podręczniki.

W nowszych pracach dotyczących Holocaustu coraz częściej wprost pisze się, że USA zbyt nie zajmowały się tą tragedią, i że był to świadomy wybór kręgów politycznych i rządu amerykańskiego oraz samego prezydenta. Roosevelt, Felix Frankfurter czy Henry Morgenthau mimo, że mieli wiedzę na ten temat, niewiele w tej sprawie zrobili, choć czasem podejmowali pewne próby, bądź zaśaliali się niemożnością podjęcia skutecznych działań. Amerykańscy Żydzi

prywatnie wyrażali nieraz obawy, że podnoszenie tej kwestii wzbudzi antyżydowskie nastroje i uśpiony antysemityzm w USA, co miało wpływ na decyzje rządowe.

O spotkaniach Wielkiej Trójki w czasie II wojny światowej napisano setki ważnych prac i chyba nie ma powodów, by do tego wracać. Może jedynie warto podkreślić, że Roosevelt przywiązywał dużą wagę do osobistych kontaktów z Winstonem Churchillem i Józefem Stalinem. Zdaje się, że zbyt wierzzył w swoją siłę perswazji i zastosowanie podobnych technik oddziaływania na rozmówców, jak na własnych rodaków podczas jego słynnych „rozmów przy kominku”. Wykazywał wielką naiwność w ocenie Stalina i Rosjan, choć z różnych źródeł też wynika, że w kuluarach i prywatnie wyrażał zgoła odmienne opinie na ich temat (s. 73–9).

Wielu badaczy wskazywało na niepokojący stan zdrowia prezydenta w ostatnich latach. Był on, podobnie jak Hull, nierzadko wyłączony z aktywności publicznej. Robert H. Ferrell⁴ poświęcił jedną ze swoich prac, podkreślając, że już w ostatniej kampanii wyborczej jesienią 1944 roku Roosevelt praktycznie nie brał udziału. Skrętnie to ukrywano przed opinią publiczną i nawet osoby z bliskiego otoczenia nie wiedziały o tym. Jak potem wyliczono, w 1944 roku prezydent aż 175 dni był poza Białym Domem, a w ostatnich miesiącach życia mógł on najwyżej 3–4 godz. zajmować się urzędowaniem. Na konferencji w Jałcie, co nawet widać na zdjęciach, prezydent był już bardzo ciężko chorym, w zasadzie umierającym człowiekiem. W gruncie rzeczy w takim stanie nie mógł on i nie powinien rządzić krajem (s. 87). Roosevelt powrócił z Jałty niezwykle wyczerpany i z trudem ukrywano przed Amerykanami faktyczny stan jego zdrowia, starając się zachować go przy życiu, do zwycięstwa aliantów. Po zdaniu sprawozdania z obrad konferencji przed Kongresem, prezydent wyjechał na odpoczynek i leczenie do Warm Springs, skąd do ostatnich dni życia urzędował. 6 oraz 11 kwietnia pisał listy, m.in. do Churchilla, które – jak się miało okazać – były ostatnimi pismami do przyjaciela. FDR zmarł bowiem 12 kwietnia 1945 roku, nie doczekawszy się zwycięstwa, którego tak bardzo pragnął.

Doenecke, podobnie jak i wielu innych historyków, mimo że uznał Roosevelta za „architekta zwycięstwa” w II wojnie światowej, postawił mu całą listę zarzutów. Krytykował go za fiasko polityki wobec Hiszpanii, ryzykowną politykę wobec Japonii, przecenianie nacjonalistycznych Chin, niedocenywanie Francji etc. Zarzucał mu także uległość wobec Stalina, opieszałość i niewielki udział w udzielaniu pomocy Żydom, a także niedotrzymanie obietnic Polakom. Listę tych pretensji można znacznie wzbogacić, bowiem polityka Roosevelta do dziś pozostała w wielu sprawach nader kontrowersyjna.

* * *

⁴ *Thy Dying President: Franklin D. Roosevelt, 1944–1945*, Columbia, Miss. 1998.

Mark Stoler w swoim eseju stara się przedstawić Roosevelta, mimo towarzyszących mu od początku licznych kontrowersji, w bardziej zobiektywizowany – jak zapewnia – sposób. Podkreśla, że oceniając amerykańską politykę zagraniczną, trzeba pamiętać o ówczesnych realiach, bowiem priorytetem prezydenta i jego rządów – zważywszy na kryzys gospodarczy – była polityka wewnętrzna. Wskazuje też, że ten „błyskotliwy manipulator ludźmi, a nie ideami” był przede wszystkim pragmatykiem. Pozostał osobą nader tajemniczą, legendarnym „sfinksem” o nieodgadnionych intencjach i myślach nawet dla bliskich, mimo że powszechnie uchodził za człowieka jowialnego, towarzyskiego i otwartego. Ogromna liczba rozmaitych źródeł dostarcza mnóstwo sprzecznych informacji o jego osobie i polityce, co do dziś – mimo obszernej literatury przedmiotu – stwarza wciąż nowe możliwości dla historyków. Tak naprawdę, co podkreśla Stoler, to nikt nie znał jego myśli i nie był pewien jego zdania (s. 118–119).

Polityka dobrosąsiedzka, a w gruncie rzeczy popieranie proamerykańskich dyktatur w Ameryce Łacińskiej w latach 30. XX wieku, okazała się, zdaniem autora, przewidująca i bardzo przydatna dla Stanów Zjednoczonych. Osiągnięta dzięki niej względna stabilizacja regionu minimalizowała również wpływy niemieckie i radzieckie w tych państwach w latach II wojny światowej i po niej (s. 123–124).

W uwagach o konferencji w Monachium Stoler także potwierdza, że większość Amerykanów popierała politykę *appeasementu* i oddanie Sudetów Niemcom, ale zarazem 90% z nich – w świetle badań opinii publicznej z października 1938 roku – nie wierzyło zapewnieniom Hitlera, że były to jego ostatnie pretensje terytorialne (s. 126–127).

Autor podziela opinie innych badaczy, że Roosevelt – mimo aktów o neutralności z lat 1935–37 – nie może być rozpatrywany jako izolacjonista. Trudno zresztą mówić o izolacjonizmie w tym czasie, skoro Ameryka podjęła liczne kroki, by wzmocnić swoją obronność i międzynarodową pozycję. Do gabinetu FDR wprowadził dwóch republikanów – Henry’ego L. Stimsona i Franka Knoxa. Po wybuchu zaś II wojny światowej Roosevelt – w odróżnieniu od Wilsona z okresu I wojny światowej – nie wymagał od rodaków „neutralności ani w myślach ani w czynach”. A i sam nie ukrywał sympatii i poparcia dla Wielkiej Brytanii, podejmując niebawem w konsekwentny sposób pewne przygotowania do obrony zagrożonych interesów amerykańskich, co w 1941 r. doprowadzi do *lend-lease*.

Warto zauważyć, że Amerykanie wykazywali w tym czasie raczej ambiwalentne opinie i postawy wobec światowego konfliktu. Badania opinii publicznej w 1940 roku wykazały, że 80% popierało udzielanie pomocy Anglii, ale tylko 20% głosowałoby w referendum za wypowiedzeniem wojny Niemcom, a mniej niż 10% uważało, że USA powinny im wypowiedzieć wojnę (s. 130–131). Nieprzypadkowo zatem w kampanii wyborczej 1940 roku Roosevelt obiecywał rodakom, że „amerykańscy chłopcy nie będą wysyłani na zagraniczne wojny”.

W trzech początkowych miesiącach 1941 roku szeroko dyskutowano w Kongresie projekt ustawy o *lend-lease* i pomocy Brytyjczykom. Jego obrońcy i sprzymierzeńcy prezydenta przedstawiali ten projekt jako sposób na zachowanie Ameryki z dala od wojny. Głosując przyznanie 7 bilionów dolarów na pomoc Brytyjczykom, Senat, jak i Izba Reprezentantów były podzielone, o czym świadczył wynik głosowania (odpowiednio 60:31 oraz 317:71). Ale jeszcze przed podjęciem przez Kongres stosownej ustawy Roosevelt, korzystając z konstytucyjnej prerogatywy, jaką jest dowództwo w czasie wojny, rozmawiał z Brytyjczykami na temat wspólnej strategii, jeśli USA przystąpią do wojny. Po napaści zaś III Rzeszy na ZSRR amerykański prezydent zadeklarował pomoc wojskową, co od listopada 1941 r. stało się możliwe w oparciu o dostawy *lend-lease*. Do tego czasu zmieniono też opinie i wizerunek, a także nastawienie amerykańskiej opinii publicznej wobec państwa radzieckiego.

Stoler podkreśla wagę osobistych kontaktów Roosevelta z Churchillem i ich 10 spotkań w trakcie II wojny światowej. Jak wyliczył, zabrało to im łącznie 120 dni (s. 134). Ironicznie, wszak konkluduje, że to nie polityka FDR na Atlantyku, mimo towarzyszących obaw i krytyki Amerykanów, że to narusza neutralność, wprowadziła USA do wojny. Stało się to nagle w zupełnie innym miejscu, tysiące mil od Waszyngtonu, w amerykańskiej bazie wojennej Pearl Harbor na Hawajach.

Narastającym napięciom amerykańsko-japońskim towarzyszyło pod koniec lat 30. XX wieku nierozumienie psychiki Japończyków, jak nieraz pisał w raportach z Tokio ambasador Joseph Grew, zwracając na to uwagę swoich zwierzchników w Waszyngtonie. Ostrzegał on, że wywieranie nacisków na Japończyków odnośnie polityki wobec Chin i Azji Południowej spowoduje raczej „ryzykowne posunięcia Japonii niż ryzyko upokorzenia i porażki”. Przerwane w listopadzie 1941 roku rozmowy z Nomurą i Kuruśu oraz złamanie przez kryptografów szyfrów dyplomatycznych nie pozostawiało wątpliwości, co do faktycznych zamiarów Japończyków. Zaczęła się w zasadzie „walka o czas”, gdyż gen. George C. Marshall i admirał Harold R. Stark (dowodzący armią i marynarką) poinformowali prezydenta i sekretarza stanu, że nie byli jeszcze gotowi do wojny na Pacyfiku i potrzebowali trzech miesięcy do przygotowania obrony Filipin. W tym czasie sekretarz Hull przygotowywał 90-dniowe porozumienie o *modus vivendi*, którego wszak nie dostarczył Japończykom, a zastąpił je innym pismem „moralistycznych zasad i propozycji”. Jednym z głównych żądań Amerykanów było całkowite wycofanie Japończyków z Indochin, a w efekcie i z Chin, i uznanie Czang Kai-szeka w zamian za wznowienie handlu. Japończycy, a w przyszłości także niektórzy historycy amerykańscy, uznali to za swoiste ultimatum, choć zapewne Hull takich intencji nie miał. Oznaczało to, tak czy inaczej fiasko rokowań i otwarty konflikt z Japonią, co stawało się jedynie kwestią czasu (s. 137–143).

Japoński atak na Pearl Harbor 7 grudnia 1941 roku spowodował dotkliwe straty i zniszczenia, co do dziś jest różnie oceniane przez badaczy, którzy po-

dają zbliżone, choć nieco odmienne dane. Zdaniem Stolera zginęło tam ponad 2400 osób, a ponad 1200 było rannych. Zniszczeniu i uszkodzeniu uległo 300 samolotów, a zatopieniu i poważnemu uszkodzeniu – 8 okrętów wojennych oraz 3 krążowniki i 4 inne okręty (s. 143). Tak czy inaczej sam atak spowodował ogromny szok nie tylko wśród żołnierzy i dowódców bezpośrednio biorących udział w tych wydarzeniach, ale wśród wszystkich Amerykanów zaskoczonych takim biegiem spraw. Pisano o nagłym, podstępny ataku, z zaskoczenia. Do końca bowiem prowadzono rozmowy dyplomatyczne w celu wyjaśnienia spornych spraw na linii Waszyngton – Tokio, czym żywo interesowali się Amerykanie, widząc w tym szansę na uchronienie ich od wojny, a w gruncie rzeczy jej odsunięcie w czasie. Tym większym więc zaskoczeniem dla opinii publicznej był „zdradziecki atak”. Rozpętana dyskusja i klimat wokół tej sprawy podzieliły w przyszłości amerykańską opinię publiczną, także historyków, którzy do dziś eksploatują ten temat na różne sposoby. Stoler dosyć sceptycznie odnosząc się do amerykańskich zabiegów dyplomatycznych, uważa, że USA w gruncie rzeczy nie miały lepszego wyjścia. Nie widzi tu żadnej „konspiracji ani manipulacji” Roosevelta, a raczej błędy ludzkie towarzyszące samemu atakowi i jego skutkom. Konflikt z Japonią był bowiem nieunikniony i jedynie kwestią czasu było, kiedy i gdzie dojdzie do ataku. Jego zdaniem, rozpoczęcie wojny na tym etapie było też korzystniejsze dla USA i w następstwie skuteczniejsze dla całej strategii aliantów (s. 144–145). Doenecke zaś wprost twierdzi, że błędem Roosevelta było skupianie większej uwagi na niebezpieczeństwie ze strony Niemiec i niepodjęcie stosownych przygotowań obronnych na Pacyfiku. Jego zdaniem zawiodła dyplomacja FDR, która po japońskim ataku w 1941 roku stworzyła niebezpieczne ryzyko dla Amerykanów i Stanów Zjednoczonych (s. 51–52).

Atak na Pearl Harbor to od lat często podnoszony temat i to zarówno przez krytyków Roosevelta, widzących w tym akcie świadomą prowokację rządową, w tym i samego prezydenta, by pozyskać poparcie Amerykanów dla wojny, jak i apologetów, podnoszących przede wszystkim patriotyzm i heroizm amerykańskich żołnierzy. Od początku Pearl Harbor towarzyszyła swego rodzaju sprzeczność – był to bowiem „dzień niesławy” (jak to określił w orędziu prezydent wypowiadając wojnę), ale zarazem chciano, by był zapamiętany i uwieczniony jako dzień bohaterstwa i czynu żołnierzy wypełniających swój obowiązek wobec ojczyzny. I tak pozostało, bowiem Pearl Harbor „żyje” do dziś w pamięci i świadomości milionów Amerykanów, którzy chyba nie do końca rozliczyli się z tej traumy. Od ponad 60 lat historycy szukają pełnego wyjaśnienia i prawdy o Pearl Harbor, a także o ataku na bazę lotnictwa w Clark Field na Filipinach. Większość badaczy uznaje, że Pearl Harbor był „katastrofą, a nie konspiracją”. Teoria o świadomej amerykańskiej prowokacji oczywiście może być i będzie nadal w jakimś stopniu pociągająca dla wszystkich podejrzliwych, ciekawskich i żądnych sensacji i wcale nieszukających prawdy. Faktem jest, że takie spekulacje (jak w ogóle wszelkiego rodzaju teorie konspiracyjne) odżywają na nowo od

czasu do czasu, co świadczy przede wszystkim o zapotrzebowaniu społecznym w tym względzie.

Stoler wysoko ocenia rolę odegraną przez Roosevelta w czasie II wojny światowej, który hasło „Dr. New Deal” zastąpił hasłem „Dr. Win-the-War” i temu ostatniemu podporządkował politykę USA. Bezsprzecznie uznał go za „jednego z najskuteczniejszych przywódców w amerykańskiej historii”, który stał się też liderem aliantów i głównym architektem zwycięstwa zjednoczonej, w dużym stopniu właśnie przez niego, koalicji. Roosevelt przesadnie wierzył, co nawet zauważa Stoler, w swoje możliwości perswazji i mediacji oraz rolę swoistego łącznika pomiędzy Churchillem a Stalinem. I był to błąd, który przyniósł wiele niekorzystnych skutków. Korzystał umiejętniej ze „specjalnych relacji” z brytyjskim premierem, z którym faktycznie się zaprzyjaźnił (s. 147–148, 152). Wątpliwą natomiast kwestią jest, by Roosevelt mógł być skuteczny w lansowaniu swoich wizji i planów politycznych w rozmowach ze Stalinem. „Wujaszek Joe”, jak go nazywał, okazał się bowiem nader przebiegłym i twardym rozmówcą. Znalazło to swoje odzwierciedlenie zwłaszcza w odniesieniu do Europy Środkowo-Wschodniej.

Stoler odniósł się również do zarzutów, że Roosevelt nie zareagował na Holocaust. Przyznał, że FDR i jego administracja nie udzieliły pomocy prześladowanym żydowskim uciekinierom z III Rzeszy. Tłumaczy to prawem imigracyjnym i obawami, że wzmogłoby to krytykę jego polityki wewnętrznej. „New deal”, jak pisze autor, coraz częściej nazywano „Jew dealem”, co osłabiało poważnie reformy i jego zwolenników w II połowie lat 1930. Zrzuca wręcz odpowiedzialność za taką politykę, a więc i odium, na Breckinridge’a Longa i Departament Stanu. Widzi pewną opieszałość i spóźnioną akcję amerykańską, jeśli chodzi o późniejszą politykę i stosunek administracji do eksterminacji Żydów (ale tym się nie zajmuje szerzej; jest to wątek ledwie zasygnalizowany; s. 164–165). Dla FDR – i to autor przyznaje – nie był to ważny element jego polityki, a Żydzi amerykańscy, jak pisze, też nie wykazali specjalnej aktywności w tym względzie. Co więcej, Amerykanie – mimo informacji na ten temat, nie podjęli kompleksowych prób pomocy, co było również rezultatem niewiary w okropieństwa eksterminacji, które docierały wówczas do USA (s. 166).

Najgłośniejsza konferencja z okresu II wojny światowej, jałtańska, do dziś budzi wiele ożywionych dyskusji i kontrowersji. Podjęte tam decyzje, zwłaszcza w odniesieniu do ONZ, okupacji wojskowej i przyszłości Niemiec, decyzje o granicach i rządzie Polski, o przyszłych rządach w innych państwach europejskich oraz wejściu ZSRR do wojny przeciwko Japonii, budziły od początku wiele sporów i emocji. Krytycy FDR w decyzjach jałtańskich widzieli przede wszystkim ustępstwa naiwnego i osłabionego chorobą, praktycznie umierającego, prezydenta, który oddał „połowę świata” pod wpływem Stalina (s. 173).

Warto dodać, że Stoler czasem wzmiankuje o sprawach polskich, ale nie jest to jego zbyt mocny punkt. Nader zdawkowo pisze o zagrożeniu niemieckim dla

Polski w latach 30., którego Amerykanie nie dostrzegali i nie wykazywali jakiegokolwiek zrozumienia, a także potem o rozmowach Stanisława Mikołajczyka i złożonych mu obietnicach, których Roosevelt nie dotrzymał.

Decyzjom dotyczącym Polski i jej spraw Stoler poświęca niewiele miejsca (s. 174) i potem jeszcze krótki fragment (s. 176), kiedy pisze, że zgoda Stalina na udział londyńskich Polaków w rządzie i wolne wybory, były ustępstwami, które FDR mógł uzyskać, i uzyskał, od radzieckiego przywódcy wykorzystującego sukcesy militarne swego kraju jako atut w trakcie tych rozmów. Roosevelt zdawał sobie sprawę z okoliczności i dzieląc się uwagami z admirałem Williamem D. Leahy'm, mówił: „to jest najlepsze, co mogę w tej chwili zrobić dla Polski” (s. 176). Zdaniem autora, sprawy Polski nie były głównymi zagadnieniami rozstrzyganymi w Jałcie, choć na te tematy dyskutowano tam wiele i długo. Postawę FDR tłumaczył amerykańską racją stanu, bowiem dla niego daleko ważniejszym celem niż wolna od wpływów radzieckich Polska, było ustanowienie ONZ i powojennego ładu gwarantującego pozycję mocarstwową USA. Wydaje się, że Stoler starał się wyważyć te racje i w miarę obiektywnie pokazać faktyczną rolę prezydenta, choć przyznał, że jego ustępstwa w sprawach polskich mszczą się do dziś.

W pracy nie uniknięto pewnych usterek i błędów, które z obowiązku recenzyjnego odnotowuję. Polska podpisała układ wojskowy z Francją w 1921 r., a nie w 1925 (s. 27). Na stronie 33 podano błędną datę, bowiem chodzi o rok 1938, a nie 1928; s. 74 powinno być Tarnopol (a nie Taropoc). Tajemnicze określenie „Warsaw Affair of 1944”, jak wynika z kontekstu, to chyba powstanie warszawskie (s. 176).

Stoler dostrzega słabości dyplomacji amerykańskiej w latach 30. XX wieku, zwłaszcza jej uniki i niepowstrzymanie ekspansji państw Osi czy bierność w kwestii polityki *appeasementu*, choć tłumaczy to koncentracją uwagi administracji amerykańskiej na polityce wewnętrznej. Krytycznie też ocenia politykę Roosevelta wobec Holocaustu, jak również błędy i fiasko polityki wobec Japonii. Zasadniczo wszak broni swego bohatera, który okazał się wielkim i sprawdzonym przywódcą w trudnych dla Amerykanów latach kryzysu gospodarczego, a potem II wojny światowej. FDR do dziś dla przeważającej większości historyków, jak i milionów Amerykanów – mimo licznych kontrowersji – pozostaje charyzmatycznym i podziwianym przywódcą. W konkluzji Stoler podkreśla, że pod koniec wojny Roosevelt uczynił Stany Zjednoczone największym mocarstwem, i w odróżnieniu od ZSRR, za stosunkowo niewielką cenę, tj. nieduże straty.

Książka ta warta jest uważnej lektury i skłania do refleksji nad Rooseveltem i jego polityką, która nadal intryguje i fascynuje kolejne pokolenia badaczy.